

Jan Związek

Wspomnienia ks. Józefa Kubicy o pracy duszpasterskiej w powiecie wieluńskim w okresie okupacji hitlerowskiej

Rocznik Wieluński 7, 127-151

2007

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ks. Jan Związek

WSPOMNIENIA KS. JÓZEFA KUBICY O PRACY DUSZPASTER- SKIEJ W POWIECIE WIELUŃSKIM W OKRESIE OKUPACJI HITLE- ROWSKIEJ

1. Wprowadzenie

Wszelkie dokumenty o losach Polaków w okresie okupacji hitlerowskiej po upływie ponad sześćdziesięciu lat posiadają nadal doniosłą wartość historyczną. Pozostają świadectwem bohaterskiej i patriotycznej postawy mieszkańców miast, miasteczek oraz wsi, dla których zachowanie polskości było największą wartością. To samo odnosi się do wyznawców wiary katolickiej w zwykłych placówkach parafialnych. Takie środowisko stanowiły tereny prastarej ziemi wieluńskiej, włączone do okupacyjnego powiatu wieluńskiego (Kreis Velun), należącego według administracji hitlerowskiej do Kraju Warty (Wartheland). Był to obszar przedwojennego powiatu wieluńskiego oraz dołączone części powiatów piotrkowskiego i radomszczańskiego. Dla katolików narodowości polskiej, których liczba wynosiła ok. 250 tysięcy, Niemcy pozostawili jedynie dwóch polskich duchownych. Mieli oni prowadzić pracę duszpasterską w kościele w Rudzie k. Wielunia, podczas gdy w pozostałych 61 parafiach i kościołach, jakkolwiek działalność kościelna, została całkowicie zakazana. Zwykle hitlerowcy w powiecie pozostawiali do pracy duszpasterskiej jednego duchownego, ale w wieluńskim (najprawdopodobniej dzięki landratowi) działalność tę prowadziło dwóch kapłanów – ks. Józef Kubica i ks. Józef Pruchnicki¹. Ruda,

¹ C. Tomczyk, *Diecezja częstochowska w latach okupacji hitlerowskiej 1939–1945*, [w:] *Studia z historii Kościoła w Polsce*, pod red. H.E. Wyczawskiego, Warszawa 1978, t. 4, s. 430–431.

posiadająca średniowieczne korzenie, w XX stuleciu była zwykłą wsią leżącą w pobliżu ośrodka administracyjnego i kościelnego, jakim był Wieluń².

Obaj kapłani z lat okupacji hitlerowskiej zostawili swoje wspomnienia o pracy duszpasterskiej w kościele w Rudzie oraz o posłudze religijnej we wschodniej i zachodniej części powiatu wieluńskiego. Są one źródłem wiedzy o wydarzeniach historycznych związanych z życiem religijnym i społecznym na tym terenie. Rządy namiestnika Artura Greisera miały doprowadzić do wyniszczenia narodowości polskiej i wiary katolickiej, aby z Kraju Warty uczynić „wzorcowy okręg” (Mustergau) administracji hitlerowskiej. Dla ludności polskiej po ostatecznym zwycięstwie Niemców miało nie być miejsca na tym terenie. Pozostawieni nieliczni duchowni katolicycy byli zaledwie tolerowani i całkowicie poddani nadzorowi policyjnemu władz okupacyjnych³.

Ks. Józef Kubica napisał swoje wspomnienia bezpośrednio po zakończeniu okupacji hitlerowskiej, w lutym 1945 r. Jednak wyraźnie z tekstu wynika, że korzystał z zapisków sporządzonych w czasie pełnienia obowiązków duszpasterskich, podawał bowiem bardzo dokładnie czas, miejsce pobytu u polskich gospodarzy, a także liczbę wiernych. Zapisy wydają się wiarygodne, bowiem autor wcześniej nie znał tych ludzi i okolic. Jego celem było przekazanie wiadomości o latach okupacji. Zapiski miały świadczyć o jego właściwej postawie w czasach terroru okupacyjnego, kiedy tak samo jak polska ludność, a może jeszcze bardziej (dlatego, że był duchownym) narażony był na niebezpieczeństwo i represje hitlerowskie. Podkreślał jednocześnie swoje pełne zaangażowanie w obronie swego współpracownika ks. Józefa Pruchnickiego, kiedy ten, podejrzany przez gestapo o udział w polskim ruchu oporu, znalazł się w więzieniu wieluńskim. Wspomnienia były opublikowane w 1957 r. dzięki drugiemu biskupowi częstochowskiemu prof. dr. Zdzisławowi Golińskiemu, który każdy dokument dotyczący przeszłości diecezji częstochowskiej nakazywał chronić i zachować, a relacje ks. Kubicy były bardzo cennym świadectwem z czasów okupacji hitlerowskiej⁴.

² W. Patykiewicz, *Archidiakoniat wieluński*, „Wiadomości Diecezjalne” 1957, R. 24–31, s. 383–393, 425–433, 455–465, 493–503; 1958, R. 32, s. 28–39, 72–80, 111–120, 156–160, 194–212, 237–248, 275–282, 462–469; R. Rosin, *Ziemia wieluńska w XII–XVI w. Studia z dziejów osadnictwa*, Łódź 1961, s. 87–97; S. Zabraniał, *Wieluński ośrodek kościelny w okresie staropolskim*, Lublin 2004, s. 35–60; J. Związek, *Instytucje kościelne w Rudzie*, [w:] *Ruda. 900 lat historii*, Wieluń 2006, s. 33–61.

³ J. Szyling, *Polityka okupanta hitlerowskiego wobec Kościoła katolickiego 1939–1945. Tzw. okręgi Rzeszy: Gdański – Prusy Zachodnie, Kraj Warty i Regencja Katowicka*, Poznań 1970, s. 99; K. Śmigiel, *Kościół katolicki w tzw. Okręgu Warty 1939–1945*, Lublin 1979, s. 95–96.

⁴ Z. Goliński, *O formowaniu materiałów do historii diecezji*, „Częstochowskie Wiadomości Diecezjalne” 1959, R. 33, s. 24–25.

Zapiski ks. Kubicy zostały opublikowane w urzędowym czasopiśmie Kurii Diecezjalnej w Częstochowie „Wiadomości Diecezjalne”⁵. Po upływie 50 lat od ich wydania są już trudno dostępne. Czasopismo było przeznaczone dla duchowieństwa diecezji, co jednocześnie zawężyło krąg jego czytelników (nakład 850 egzemplarzy). Aktualnie także w prywatnych bibliotekach księży „Wiadomości Diecezjalne” z tamtych lat należą do rzadkości. W takiej sytuacji, po zaczerpnięciu opinii osób kompetentnych, autor niniejszego artykułu zdecydował się powtórnie opublikować wspomnienia ks. Kubicy. Początkowo wprawdzie jego zamiarem było wydanie jedynie pamiętników ks. Józefa Pruchnickiego⁶. Jednak po ich opublikowaniu wielu zwracało uwagę na fakt, że wymieniona w tej publikacji praca ks. Kubicy jest aktualnie nieznana, także przez duchownych, szczególnie młodych. Radzono, aby ponownie je opublikować.

Postanowiono pominąć charakterystykę sytuacji społeczno-religijnej na terenach powiatu wieluńskiego, ponieważ uczyniono to z okazji publikacji pracy ks. Pruchnickiego⁷. Przyjęto zasady wydawnicze i metodologiczne takie same, jak w wypadku publikacji wspomnień ks. Pruchnickiego. Natomiast należało podać więcej szczegółów biograficznych z życia ks. Kubicy. W Archiwum Archidiecezjalnym w Częstochowie zachowało się bardzo mało dokumentów, dotyczących ks. Kubicy. Jego dane biograficzne nie zostały także podane w słowniku biograficznym polskich paulinów w XIX i XX wieku⁸. Na szczęście dużo informacji o nim znajduje się w Archiwum Ojców Paulinów na Jasnej Górze i w opracowaniach rękopiśmiennych o. dra Józefa Płatka. Za ich udostępnienie składam wyrazy głębokiej wdzięczności⁹. Nie dało to jednak pełnego obrazu życia i działalności ks. Kubicy, bowiem w ostatnich latach swego życia przebywał on na terenie Administracji Apostolskiej Dolnego Śląska, gdzie zachowały się jedynie nieliczne materiały, ale bardzo ważne.

2. Rys biograficzny

Ks. Józef Kubica urodził się 14 X 1911 r. w Essen w Niemczech na terenie archidiecezji kolońskiej. W tym też mieście, w parafii Najświętszej Maryi Panny, został ochrzczony. Rodzicami jego byli Józef i Maria z domu Kowalczyk, najprawdopodobniej przebywający tam czasowo w poszukiwaniu lepszych wa-

⁵ J. Kubica, *Katolicki kościół parafialny dla Polaków powiatu wieluńskiego w Rudzie. Dzieje pracy duszpasterskiej pod okupacją niemiecką od 18 X 1941 r. do 18 I 1945 r.*, „Wiadomości Diecezjalne” 1957, R. 24–31, s. 162–172.

⁶ J. Związek, *Wspomnienia ks. Józefa Pruchnickiego o pracy duszpasterskiej w powiecie wieluńskim w okresie okupacji hitlerowskiej*, „Rocznik Wieluński” 2006, t. 6, s. 126–145.

⁷ Tamże, s. 111–123.

⁸ J. Płatek, *Dzieje paulinów XX wieku – życie i działalność*, Częstochowa 2002.

⁹ Archiwum Ojców Paulinów na Jasnej Górze, sygn. 3300, 3892, 3992.

runków bytowych. Na taki status rodziców wskazuje korespondencja ks. Kubicy z 1939 r., w której zaznaczył, że dziadek jego Ignacy Kowalczyk (ojciec matki), mieszkał wówczas we wsi Kaliszkowice Ołobockie, położonej w niedalekiej odległości od Grabowa n. Prosną, w połowie drogi z Kalisza do Wieruszowa. Stąd pochodziła zapewne jego matka. Drugą miejscowością, wymienioną w jego młodych latach, były Chojnice, gdzie rozpoczął naukę w gimnazjum. Czy z tego miasta lub z okolic pochodził ojciec? Nie można dać pewnej odpowiedzi, bowiem w tych stronach mogli zamieszkać jego rodzice po powrocie z Niemiec, po zakończeniu I wojny światowej. Te wiadomości dotyczące miejsca i daty urodzenia oraz pobytu w gimnazjum są bardzo ważne, pozwalają bowiem sprostować informacje podane w urzędowym piśmie diecezji częstochowskiej, katalogu diecezjalnym z 1958 r. Podano tam iż urodził się 1 I 1911 r., bez powołania się na źródło. Podobnie ogólnie określono, iż urodził się na Pomorzu. Obecne szczegółowe dane biograficzne pochodzą, ze zbiorów archiwalnych Archiwum Jasnogórskiego. Należy przypuszczać, że w Essen zaczął także uczyć się na poziomie szkoły elementarnej. Po powrocie do Polski, dzięki ukończeniu szkoły niemieckiej, zdał egzamin wstępny do gimnazjum w Chojnicach. Po ukończeniu 4 klas gimnazjalnych w tym mieście kontynuował dalszą naukę, w zakresie szkoły średniej, w Krakowie. Przebywał w juwenacie Ojców Paulinów na Skałce i jednocześnie kończył naukę w szkole średniej. Idąc za głosem swego powołania postanowił wstąpić do tego zakonu. Wybór wskazuje na pochodzenie rodziny z okolic Grabowa n. Prosną, gdzie działalność zakonników paulińskich z okolicznych klasztorów była znana rodzicom i o której zapewne opowiadali swemu synowi. Do tego doszła osobista znajomość życia paulińskiego z czasu pobytu w juwenacie. Nowicjat rozpoczął w dniu 2 VIII 1928 r. w klasztorze Na Skałce w Krakowie, a zakończył w Leśnej Podlaskiej, gdzie (3 sierpnia 1929 r.) złożył pierwszą profesję zakonną.

Studia filozoficzno – teologiczne rozpoczął na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, a praktyczne studia z zakresu praktyk duszpasterskich w Instytucie Teologicznym Księży Misjonarzy na Stradomiu w Krakowie. Mieszkał w tym czasie w klasztorze paulińskim Na Skałce. Odznaczał się gorliwością w wypełnianiu praktyk zakonnych, chociaż kilka lat później zaznaczył, że czynił to głównie z pobudek emocjonalnych, a nie wpływających z umiłowania życia zakonnego (pisał to faktycznie pod wpływem głębokich emocji). W czasie studiów interesował się muzyką i śpiewem kościelnym, dobrze grał na organach. Nie miał trudności w studiach filozoficzno – teologicznych, oceniany był jako zdolny, pracowity i sumienny student. Spośród dyscyplin teologicznych najbardziej interesowała go historia Kościoła, w tym przede wszystkim dzieje zakonu paulińskiego. Tak samo przełożeni zakonni wy-

dawali o nim pozytywną opinię. Profesję wieczystą złożył na Jasnej Górze 28 VIII 1933 r. (w zakonie miał imię Brunon). Świecenia kapłańskie przyjął, także na Jasnej Górze, z rąk biskupa częstochowskiego Teodora Kubiny w dniu 14 IV 1935 r.



Ks. mgr Józef Kubica, duszpasterz w powiecie wieluńskim w okresie okupacji hitlerowskiej

Władze zakonne, oceniając pozytywnie jego życie i postępowanie oraz widząc jego zamiłowanie do badań historycznych, skierowały go na studia specjalistyczne w zakresie historii Kościoła na Wydział Teologiczny UJ. Uczęszczał na seminarium naukowe, które prowadził, pochodzący z Pomorza, ks. prof. dr Tadeusz Glemma. Napisał pracę magisterską na temat „Pierwsza koronacja Cudownego Obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej”. Uroczystość ta – w dniu 8 IX 1717 r. – była pierwszą koronacją obrazu Matki Boskiej poza Rzymem i odbyła się na Jasnej Górze. Praca została dobrze oceniona, jej egzemplarz zachował się AJG. Stała się równocześnie podstawą

do uzyskania stopnia naukowego magistra teologii na Wydziale Teologicznym UJ. Władze zakonne zdecydowały, aby kontynuował studia historyczne i przygotował rozprawę doktorską. Jej tematem miało być życie i działalność paulina o. Konstantego Moszyńskiego (1670–1738), gorliwego zakonnika, biskupa inflanckiego i autora wielu rozpraw teologicznych. W tym celu zebrał bogaty materiał źródłowy, który miał mu służyć do napisania rozprawy. Tymczasem w życiu ks. Józefa Kubicy zaszły niespodziewane wydarzenia, które przekreśliły jego karierę naukową¹⁰.

W tym czasie pomagał w pracy wychowawczej i formacyjnej w juwenacie paulińskim na Skałce. Nie potrafił jednak być w pełni wiernym regule i ślubom zakonnym. Generał zakonu o. Pius Przeździecki, bardzo dbający o najwierniej-

¹⁰ Dane biograficzne z czasów pobytu w zakonie OO. Paulinów podałem dzięki uprzejmości o. dra Józefa Płatka ZP, który udostępnił mi rękopis biogramu o. Brunona Józefa Kubicy, za co uprzejmie dziękuję.

sze ich przestrzeganie, nie akceptował takiego postępowania i nałożył na niego kary kościelne. W tej sytuacji odwołał się do Stolicy Apostolskiej. Decyzja Kongregacji do Spraw Zakonnych była zgodna z postanowieniem generała zakonu. Tym wyrokiem poddał się, zmienił tryb swego postępowania, naprawił wyrządzoną krzywdę, ale jednocześnie podjął decyzję o wystąpieniu z zakonu paulińskiego. Taką drogę jego postępowania przewidywał generał zakonu. Przebywał w tym czasie w klasztorze w Leśniowie k. Żarek¹¹.

Przebywając w klasztorach swego zakonu w Leśniowie i na Jasnej Górze, poznał sytuację w diecezji częstochowskiej, zwłaszcza w dziedzinie działalności duchowieństwa świeckiego, którego w tym czasie bardzo brakowało. Biskup Kubina w tych okolicznościach przyjmował kapłanów z innych diecezji oraz zakonów i zgromadzeń zakonnych. Zdając sobie sprawę ze swego niewłaściwego postępowania w zakonie odprawił wzorowo rekolekcje w klasztorze Leśniowskim i postanowił prosić biskupa Kubinę o przyjęcie go w szeregi duchowieństwa diecezjalnego. W sprawie podjętej decyzji uzyskał pozytywną opinię przeora w Leśniowie o. Justyna Marczewskiego i o. Mariana Paszkiewicza, wybitnego rekolekcjonisty. W piśmie zredagowanym w uroczystość Zwiastowania NMP w dniu 25 III 1938 r. zwrócił się do biskupa Kubiny o przyjęcie go do diecezji częstochowskiej¹².

Od tego czasu rozpoczął się proces kanoniczny o jego wystąpienie (eksklustrację) z zakonu paulińskiego i przejście do kleru diecezjalnego. Po rozpatrzeniu pism Ojca Generała, Kongregacja do Spraw Zakonnych (*Sacra Congregatio Negotiis Religiosorum Sodalium*) w dniu 26 lipca 1938 r. wydała dekret wyjścia jego (*decretum saecularizationis*) z zakonu paulińskiego, a zarazem zezwalający na jego inkardynację do diecezji częstochowskiej¹³. Prokurator generalny zakonu, o. Kajetan Raczyński, pismo Kongregacji przesłał do biskupa Kubiny w Częstochowie w dniu 4 VIII t. r. Na tej podstawie został inkardynowany na 3 lata na okres próbny (*ad experimentum*)¹⁴. Wypada przypomnieć, że swoje starania o przyjęcie do diecezji częstochowskiej rozpoczął jeszcze przed decyzją Kongregacji do Spraw Zakonnych. W dniu 25 VI 1938 r. biskup Kubina udzielił mu prawa do słuchania spowiedzi oraz zastępowania proboszcza w Cieszęcinie, ks. Hipolita Zielińskiego¹⁵, we wszystkich obowiązkach duszpasterskich łącznie

¹¹ Archiwum Archidiecezjalne w Częstochowie, Akta personalne ks. Józefa Kubicy. sygn. III 40, s. 1.

¹² Tamże, s. 25–26.

¹³ Tamże, s. 1.

¹⁴ Tamże s. 3.

¹⁵ Ks. Hipolit Zieliński ur. 12 VIII 1873 r. we wsi Posoka pod Koninem. Rodzicami jego byli Ksawery i Apolonia z d. Netering. Do szkoły średniej uczęszczał w Kaliszu. Seminarium Duchowne ukończył we Włocławku. Święcenia kapłańskie przyjął z rąk biskupa Aleksandra Be-

z zezwoleniem na binację w niedziele i święta kościelne oraz błogosławienia związków małżeńskich – dekret biskupi obowiązywał aż do odwołania¹⁶. Ks. Hipolit Zieliński, często chorujący, potrzebował takiej pomocy w rozległej parafii Cieszęcin¹⁷. Zlecone mu obowiązki wykonywał solidnie tak przed jak i po otrzymaniu dekretu sekularyzacyjnego.

Na tym stanowisku zastał go wybuch II wojny światowej. Rozpoczęły się straszliwe represje wobec ludności polskiej. Szczególnie trudne warunki panowały w Kraju Warty (Wartheland), do którego został włączony powiat wieluński wraz z Cieszęcinem i Wieruszowem. Terror okupacyjny, ustawicznie wzrastający pod rządami Artura Greisera, powodował coraz większy opór ze strony ludności polskiej. Współpraca z władzami okupacyjnymi, w jakiegokolwiek formie, nikomu z Polaków nie była wybaczona. Nawet na sterroryzowanego i zastraszonego przez miejscowych żandarmów wikariusza parafii w Czastarach ks. Mieczysława Mazanka, po zamordowaniu proboszcza ks. Bolesława Stradowskiego, został wydany wyrok śmierci przez miejscowy ruch oporu. Tymczasem ks. Kubica został wyznaczony przez Niemców na pracownika w urzędzie gminnym w Galewicach, dokąd z Cieszęcina dojeżdżał rowerem. Przyczyną tej nominacji był fakt, że urodził się w Essen i znał język niemiecki. Ze względu na miejsce urodzenia został wpisany, bez osobistej deklaracji, przez władze okupacyjne na Reichslistę, niemiecką listę narodowościową. Ale ludność polska nie rozróżniała wówczas form współpracy z okupantem – wszelkie jej przejawy były przestępstwem. Jego działalność w urzędzie niemieckim z pewnością nie była wroga mieszkańcom gminy, bowiem nie zachowały się żadne skargi ani też informacje o zagrożeniu ze strony ruchu oporu. Nie była jednak do pogodzenia z postawą kapłana katolickiego.

Do pogorszenia jego wizerunku przyczynił się nadto fakt, iż władze hitlerowskie nie aresztowały go podczas powszechnej branki duchownych katolickich w dniu 6 X 1941 r., a potem jego, wprawdzie ofiarna i niebezpieczna, praca duszpasterska w zachodniej części powiatu wieluńskiego, nie była przez wielu akceptowana¹⁸. Biskup Kubina jeszcze przed powszechnym aresztowaniem ka-

reśniewicza w dniu 9 IV 1896 r. Pracował w Kurii Biskupiej we Włocławku, następnie był wikariuszem w wielu parafiach. Proboszczem był w Wieruszowie, a od 1920 r. w Cieszęcinie (od 1922 r. dziekanem dekanatu wieruszowskiego). Był kanonikiem kapituły kolegiackiej w Kaliszu, odznaczony orderem „Pro Ecclesia et Pontifice”. W 1939 r. rzekł się stanowiska dziekana. Z probostwa zrezygnował w 1945 r. i zamieszkał w Poznaniu w parafii św. Krzyża. Zmarł 18 IV 1957 r. w Poznaniu i tam został pochowany. Por. J. Walicki, *Ks. Hipolit Zieliński*, „Wiadomości Diecezjalne” 1957, R. 24–31, s. 125.

¹⁶ Akta personalne ks. Józefa Kubicy..., s. 7.

¹⁷ J. Związek, *Straty diecezji częstochowskiej w okresie okupacji hitlerowskiej (1939–1945)*, „Częstochoskie Studia Teologiczne” 1974, t. 2, s. 353–355.

¹⁸ Akta personalne ks. Józefa Kubicy..., s. 13.

planów przedłużył mu pobyt ad experimentum w dniu 19 VII 1941 r. na kolejne 3 lata. Świadczyło to, że postawa ks. Józefa Kubicy była nienaganna. Po aresztowaniu kapłanów władze okupacyjne wyznaczyły go do pracy duszpasterskiej w powiecie wieluńskim wraz z ks. Józefem Pruchnickim, dotychczasowym proboszczem w Mokrsku. Zamieszkał w Rudzie k. Wielunia przy jedynym kościele katolickim, w którym mogły być odprawiane nabożeństwa dla polskiej ludności katolickiej. Władze okupacyjne wyznaczyły go odpowiedzialnym za przestrzeganie przepisów hitlerowskich, w związku z prowadzeniem pracy duszpasterskiej w tej miejscowości. Nie zachowały się żadne dokumenty biskupa Kubiny potwierdzające tę działalność w kościele parafialnym w Rudzie, ale od początku okupacji hitlerowskiej biskup na te tereny nie wysyłał swoich dekretów z obawy o bezpieczeństwo duchownych i wiernych. W nowych warunkach ks. Kubica pracował ofiarnie, niejednokrotnie spotykając się ze sprzeciwem władz lokalnych. Do odległych miejscowości udawał się każdego tygodnia pociągiem i rowerem, także w warunkach zimowych. To było najlepszym dowodem jego właściwej postawy religijnej i patriotycznej. Nie mógł i nie utrzymywał kontaktów z duszpasterstwem dla katolików narodowości niemieckiej w Wieluniu. Mimo to jego postawa przez wielu nie była akceptowana.

Po wyzwoleniu ziemi wieluńskiej, w połowie stycznia 1945 r., w zaistniałych okolicznościach i wskutek panującej opinii, postanowił opuścić dotychczasową placówkę. Biskup Kubina mianował go (28 II 1945 r.) administratorem (vicarius oeconomus) w parafii Maluszyn, w dekanacie gidelskim, na wschodnich rubieżach diecezji częstochowskiej. Jednakże placówki tej nie mógł objąć, bowiem pozostał tam dotychczasowy proboszcz¹⁹. W tej sytuacji (4 IV 1945 r.) został mianowany administratorem parafii Bór Zapiski w dekanacie częstochowskim podmiejskim²⁰. Ale i ta nominacja została anulowana i w dniu 11 IV t. r. biskup mianował go administratorem parafii Gidle. Praca duszpasterska w rozległej parafii dla jednego kapłana była bardzo trudna, podczas gdy stan jego zdrowia uległ w okresie okupacji znacznemu pogorszeniu. Dlatego prosił o stałą pomoc w pracy parafialnej miejscowych ojców dominikanów, ale takich obowiązków zakonnicy nie mogli zrealizować²¹. Docierały do niego nadto negatywne oceny jego postawy ze strony kapłanów, którzy powrócili z obozów koncentracyjnych. Z tych powodów podjął starania w kierunku przejścia do innej diecezji. Władze kościelne w Częstochowie wyraziły zgodę na tę propozycję w dniu 2 X 1946 r., co jednocześnie oznaczało jego rezygnację ze stanowiska administratora w parafii Gidle²². W ciągu krótkiego okresu mieszkał u swojej matki na Pomorzu.

¹⁹ Tamże, s. 17.

²⁰ Tamże, ss. 15, 21.

²¹ Tamże, s. 23.

²² Tamże, s. 24.

Starania o przejście do innej diecezji były trudne i trwały długo. Zamieszkał przez pewien czas w 1947 r. w Katowicach, gdzie korzystał z opieki sióstr zakonnych Notre Dame (Szkolnych). W wyniku intensywnych zabiegów w kierunku podjęcia pracy w Administracji Apostolskiej Dolnego Śląska wrocławska władza kościelna powierzyła mu obowiązki duszpasterskie. W dniu 9 X 1946 r. został mianowany wikariuszem substytutem w parafii Krzelków i wikariuszem substytutem w parafii Czerńczyce w dekanacie Ziębice. Natomiast w dniu 6 II 1948 r. mianowano go członkiem Komisji do Spraw Organizacji Kościelnych Administracji Apostolskiej Dolnego Śląska. Wkrótce też – 28 IX 1948 r. – został referentem w Wydziale Duszpasterskim Kurii Diecezjalnej. Posiadając wiedzę na temat pracy duszpasterskiej został, w dniu 29 III 1951 r., członkiem komisji kwalifikacyjnej na stałe probostwa w Administracji Apostolskiej Dolnego Śląska. Po upływie pół roku ówczesny ordynariusz mianował go ceremoniarzem katedralnym. Obok tej pracy prowadził badania historyczne, poświęcone prehistorii diecezji wrocławskiej, ale pozostały one jedynie w zapisach rękopiśmiennych. Zmarł nagle w dniu 29 VII 1952 r. we Wrocławiu i został tam pochowany na cmentarzu grzebalnym²³.

3. Ks. JÓZEF KUBICA. Katolicki kościół parafialny dla Polaków powiatu wieluńskiego w Rudzie. Dzieje pracy duszpasterskiej pod okupacją niemiecką od 18 X 1941 r. do 18 I 1945 r., Wieluń 1945.

Dzień 6 października 1941 roku pozostanie po wsze czasy dniem żałoby dla tych diecezji, których tereny w całości lub częściowo znalazły się w tzw. Warthegau. Należały do nich archidiecezja poznańsko – gnieźnieńska, diecezja łódzka, wrocławska i częstochowska. Ta ostatnia miała więcej szczęścia aniżeli inne, bo tylko należące do niej parafie powiatu wieluńskiego i włączone do tegoż zachodniej części powiatu radomszczańskie, padły pastwą hitlerowskich zbirów.

W nocy z 5 na 6 października 1941 r. wykonała żandarmeria niemiecka rozkaz gestapo i aresztowała wszystkich księży powiększonego powiatu wieluńskiego. Ciosem tym zostało dotkniętych 59 parafii oraz pozostałe zakony męskie. Jako zbrodniarzy politycznych odwiozła ich żandarmeria do Wielunia, gromadząc ich w wielkiej sali domu partyjnego, skąd autobusami odstawiono ich do Konstancy-nowa²⁴. Z księży powiatu wieluńskiego zwolniono od branki dwóch tylko księ-

²³ Wiadomości biograficzne dotyczące ks. mgra Józefa Kubicy z lat jego działalności w Administracji Apostolskiej Dolnego Śląska przesłał autorowi niniejszego artykułu kanclerz Kurii Metropolitalnej we Wrocławiu ks. dr Leon Czaja, za co w tym miejscu Księdzu Kanclerzowi składam wyrazy prawdziwej wdzięczności.

²⁴ J. Związek, *Straty diecezji częstochowskiej...*, s. 355.

zy: piszącego te słowa i ks. Pruchnickiego, proboszcza parafii Mokrsko. Cudem jakimś wybrano ich na duszpasterzy Polaków powiatu wieluńskiego. Cudem też zwolniono od tortur dachauskich ks. prałata Przygodzkiego²⁵, ks. kanonika Wtorkiewicza, proboszcza parafii Rudlice, ks. Żora, proboszcza parafii Czarnozęły, ks. Chrzanowskiego, proboszcza parafii Ruda. Staraniom swojej rodziny zawdzięcza swe życie ks. kanonik Zieliński, proboszcz parafii Cieszęcin. Reszta po kilkutygodniowym pobycie w Konstytucy w powędrawała do obozu koncentracyjnego w Dachau²⁶.

Około godziny 4 rano 6 października 1941 r. zbudziło mnie gwałtowne pukanie w okno sypialni przy równoczesnym wołaniu mego nazwiska. Poznawszy głos komendanta żandarmerii wyskoczyłem, drżąc z przerażenia, z łóżka. Zanim nawiązałem z nim rozmowę, zdążyłem rzucić tylko kilka słów siostrze: „Jezus, Maryja, policja – wszystko skończone”. Zaraz potem odezwał się do komendanta, objawiając gotowość otwarcia mieszkania. Ku memu zdziwieniu usłyszałem taki rozkaz. „Niech pan nie wychodzi. Następujący rozkaz proszę wypełnić. Stary jedzie z nami. Plebania opieczętowana. Pan swą głową odpowiada, jeśli coś z plebanii zginie. Do godziny ósmej zostanie pan w domu, a potem pojedzie pan jak zwykle do pracy do gminy”. Na taką wiadomość wyrwały mi się słowa: „Jezus, Maryja” – na co sarkastycznie odpowiedziano łamaną polszczyzną: „I Matka Boska tyż (też)” – śmiano się przy tym z isticie szatańskim zadowoleniem. Pracując cały dzień nie mogłem odpowiadać za całość plebanii, dlatego też poprosiłem, by wybrał sobie kogoś innego. Zrozumiał to i odszedł.

Taki przebieg miała owa historyczna rozmowa przez okno. Ubrawszy się pobiegłem do pana organisty Wójcika, u którego zastałem zziębniętą gospodynię i siostrzenicę ks. kanonika Zielińskiego. Mimo zakazu opuściłem mieszkanie, by zbadać czy i kościół został opieczętowany. Na szczęście ani jedna kartka, zaopatrzona w policyjną pieczęć, nie wzbraniała wstępu do kościoła, choć i tak wejść nie mogłem, gdyż klucze zostały w zamkniętej plebanii. Okoliczność ta podniosła mnie na duchu i kazała się spodziewać, iż chodzi tu li – tylko o akcję ograniczenia liczby polskiego duchowieństwa, o czym dawno mówiono, a nie o tak radykalne, jak było w istocie, załatwienie się z księżmi. Uspokojony, choć załamany nieszczęściem, które dotknęło ks. kanonika Zielińskiego, wyjechałem do gminy (w Galewicach). Tu wszyscy koledzy zasypali mnie potwornymi wia-

²⁵ J. Związek, *Przygodzki Wincenty (1870–1947)*, [w:] *Polski Słownik Biograficzny*, pod red. E. Rostworowskiego, Wrocław 1986, t. 29, s. 163–164; J. Książek, *Ks. Wincenty Przygodzki, kapłan, działacz społeczny, polityczny i regionalista*, „Rocznik Wieluński” 2004, t. 4, s. 39–67.

²⁶ J. Związek, *Aresztowanie i męczeństwo kapłanów ziemi wieluńskiej w okresie okupacji hitlerowskiej*, „Rocznik Wieluński” 2002, t. 2, s. 19. Jednakże do 6 kapłanów zwolnionych z obozu przejściowego w Konstytucy tu wymienionych należy jeszcze dodać nazwisko ks. Adama Żora.

domościami – księżą z Kraszewic, Czajkowa, Węglowic, Lututowa, Ochędzyna, Walichnów i Wieruszowa zabrani. „Z Wieruszowa obaj” – pytam. „Tak, obaj. Ks. dr Kott, mimo ciężkiej choroby (karbunkuł na szyi) musiał jechać, ponoć żandarmi mieli rozkaz zabrać nawet konających”. Wiadomości te przygnębiły mnie do reszty. Zabrano więc wszystkich, a ze mną co będzie – pytałem siebie – czyżby uratowała mnie praca w gminie? A może tą drogą chciano na mnie wywrzeć ostateczny nacisk, by przyjąć pogardzony „dyplom Volksdeutscha III klasy”, jaki mi wciskał Kreisleiter von Natzmer? Czymżesz więc jestem – księdzem czy urzędnikiem. Ten sam komendant, który aresztował ks. kanonika Zielińskiego, pytał napotkanego kolegę z gminy: „Bardzo się Kubica boi?”. A ja bałem się bardzo i nie wiedziałem, co z sobą począć. Byłem zupełnie wytrącony z równowagi. A obawa kazała wciąż patrzeć w okno czy komendant nie wchodzi, by mnie aresztować. Moje zostawienie tłumaczyłem sobie w ten sposób: „było rzeczą zbyteczną zabierać mnie razem z ks. kanonikiem Zielińskim, skoro wiadano, że sam na rowerze przyjadę do Galewic. Wystarczy tylko zajechać furmanką, wsadzić mnie na nią i następnie pociągiem zawieźć mnie do Wielunia”.

W fatalnym położeniu postawiła mnie pewna kobieta z Wieruszowa. Przyszła ona prosić mnie o pochowanie na cmentarzu wieruszowskim swego zmarłego męża. By uniknąć spotkania z policją, starałem się jej wytłumaczyć, by na razie pochowała męża bez udziału księdza, obiecując jej kiedyś, po ustaniu (obecnego) stanu rzeczy, pokropić mogiłę na cmentarzu. Nie chciała jednak ustąpić i rad nie rad musiałem pójść zapytać (na posterunek żandarmerii w Wieruszowie – przypis J. Z) czy mi wolno pochować tego człowieka. „Ależ wolno – brzmiała odpowiedź komendanta – cały powiat to teraz wasza parafia. Wszelkie czynności duszpasterskie są wam dozwolone. Będziecie mieć jeszcze jednego pomocnika, ale jak się nazywa nie wiem”. W ten sposób dowiedziałem się co mnie czeka, no i że nie będę sam. Nie dowiedziałem się natomiast czy zostaję w Cieszęcinie czy też nie.

Wróciwszy wieczorem do domu, mogłem uspokoić siostrę, której w ciągu dnia kilkakrotnie donoszono, że nie powinna mnie oczekiwać, gdyż po przybyciu do Galewic, zostałem natychmiast aresztowany. Nazajutrz wyjechałem do Wieruszowa i pochowałem cichaczem – w obawie przed wieruszowską policją – zmarłego. W gminie czekała mnie arcynieprzyjemna przeprawa z komisarzem. Uznał on za stosowne zwrócić mi uwagę, iż to co się stało nie powinno mnie dziwić, każde państwo musi się bronić, a księża przechowywali po kościołach broń, na ambonie i w konfesjonale prowadzili akcję wrogą państwu. „Co do siebie, niech pan wyciągnie odpowiednie konsekwencje. Niech się pan zdecyduje podpisać Volkslistę, bo i tak się pan nie uratuje”.

Odpowiedziałem mu otwarcie, iż tym razem znam postać rzeczy i wprowadzić się w błąd nie dam. Dawne obywatelstwo nie utożsamiam z niemieckim pochodzeniem. Presję, jaką w swoim czasie wywarł pan starosta Natzmer uważam za zbrodnię i odczekam do dalszych zarządzeń nowych władz.

„Jeśli tak, to niech pan zrezygnuje z obowiązków kapłańskich i zostanie u mnie w urzędzie, bo gdzie ja teraz znajdę odpowiednią siłę. – Tego uczynić nie mogę – oświadczyłem zdecydowanie. Dwa tygodnie wystarczą, by wtajemniczyć we wszystko p. Wójcika, potem się wycofam i oddam swoja pracę. – Niech i tak będzie, aby pan tylko nie żałował”.

Godząc obowiązki kapłańskie z pracą w gminie, spędziłem spokojnie dalszych 9 dni. Dnia 12 października urządziłem w kościele cieszącym uroczyste nabożeństwo, na które zbiegło się z całej okolicy setki wiernych cieszących się, iż przynajmniej jeden kościół w okolicy ocalał. Tymczasem ważyły się moje losy. Landrat Natzmer nie mógł mi darować uporczywości i zażądał mego wywiezienia do Dachau, proponując w moje miejsce ks. Hamerlinga. Jego uległość wobec władz niemieckich lepiej dysponowała go na duszpasterza niż upartego Kubicę. W czwartek dnia 16 października o godzinie 8 rano zjawił się w moim mieszkaniu żandarm, który nakazał mi stawić się natychmiast u komendanta. W Galewicach powiedziano mi, że w sobotę 18 października o godzinie 10 mam stawić się w Wieluniu, celem odebrania dalszych rozkazów. W sobotę rano wyjechałem do Wielunia.

Z drżeniem wstępowałem po raz pierwszy po schodach, po których później tak często musiałem chodzić. Między pierwszym a drugim piętrem, tuż przy oknie, stał jakiś pan, który zbliżył się do mnie pytając „czy może ks. Kubica?”. „Tak” – odpowiedziałem. „Kolega pozwoli, iż się przedstawię, ks. Pruchnicki jestem. Tam na nas czekają. Mamy jechać do Rudy i objąć kościół – obaj. Tak byłem już w Rudzie, o mieszkanie bardzo trudno”. Tak rozmawialiśmy idąc na górę. Z trwogą zapukałem do drzwi, na których widniał złowrogi napis „Geheime Staatspolizei – Velun”. Na mało serdeczne „wejść”, wsunęliśmy się obaj. Stojący na środku sali szef gestapo zapytał się – „Kubica?” „Tak” – odpowiedziałem. „Pan i Pruchnicki, proszę zaczekać na korytarzu, a pana proszę do gabinetu”. Po zamknięciu drzwi znowu pytanie: „Mówi pan po niemiecku?” „Tak”. Otóż obejmie pan z panem Pruchnickim kościół w Rudzie. Zaraz tam pojedziemy i oddam panu klucze. Wolno wam na terenie powiatu wykonywać wszelkie czynności duszpasterskie. Msze św. wolno wam odprawiać tylko w Rudzie. Pan będzie odpowiedzialnym za wszystko. Ten drugi będzie wam pomagał. Gdyby w czymkolwiek zarządzenia niniejsze zostały naruszone, odpowiada pan życiem. Zrozumiano? Jak sobie pracę rozłożycie jest waszą rzeczą. We wszystkim proszę się zgłaszać do mnie. A teraz proszę na korytarzu czekać na mnie”. Po

chwili, znane wszystkim Wieluniakom auto, mknęło do Rudy, zatrzymując się tam przed kościołem. Podczas gdy ks. Pruchnicki opowiadał mi swoje trudności z wynalezieniem mieszkania, szef gestapo udał się na posterunek po klucze. Wprowadziwszy nas do zakrystii oświadczył: „Stąd nic nie zabieraliśmy, proszę sprawdzić, czy wszystko jest w porządku i zrobić szczegółowy inwentarz, który zostanie mi doreczony w końcu przyszłego tygodnia”. Dokonawszy szczegółowych oględzin przekonałem się, iż brakuje monstrancji. Odważyłem się by uratować jedną z cięszęckich i poprosić, by mi wolno ją było stamtąd zabrać. Bez trudności dano mi na to zgodę.

Po tak swoistej „instrukcji” wróciłem najbliższym pociągiem do domu. Tutaj zastałem zmiany. Kościół został podczas mojej nieobecności zamknięty i opieczętowany. Wszyscy sądzili, że zostałem aresztowany, dlatego też mój powrót wywołał dużo radości. W najbliższą środę udałem się znowu do Rudy, by dokończyć spis inwentarza i postarać się o mieszkanie. Znalazłem jeden pokój, ale na to nie było rady. W ciągu najbliższych paru dni zdawałem urząd stanu cywilnego, a 31 października, wśród ulewnego deszczu przeprowadziłem się do Rudy.

W swej administracji miałem od razu nieprzyjemność. W ciągu mej nieobecności, został kościół ze względu na pryszczycę, przez komisarza gminnego zamknięty, klucze odebrane i zdeponowane na policji, gdzie mieliśmy się zgłaszać, ilekroć one będą nam potrzebne.

Trzeba było zatem rozpocząć starania o otwarcie kościoła i zwrot kluczy. Klucze, jako nieprawnie zabrane, zostały zwrócone, ale o otwarciu kościoła nie chciano słuchać, bo państwo nie może na to pozwolić, by ludzie, chodząc do kościoła, tę zarazę roznosili. Pozwolono tylko na chrzty dzieci.

Przy tej trzeciej mojej bytności w gestapo zdecydowano podział powiatu na dwie części – zachodnią i wschodnią. Linia podziałowa przebiegała wschodnimi granicami gmin Skrzynno, Wydrzyn, Wieluń, Pątnów i Rudniki. Między sobą umówiliśmy się z ks. Pruchnickim, iż z mej zachodniej części weźmie ks. Pruchnicki parafie Mokrsko i Skomlin, by ludziom dać możliwość zobaczenia, choć od czasu do czasu swego proboszcza. Wobec zamknięcia kościoła stało się rzeczą konieczną obsługiwać wiernych, tak ogromnej 220 tysięcy dusz liczącej parafii, przez dojazdy w teren.

W swej zachodniej części powiatu skomunikowałem się z organistami i wyznaczyłem placówki, do których postanowiłem wyjeżdżać co dwa tygodnie. Oto one – Kraszewice, Czajków, Galewice, Wieruszów, Bolesławiec, Praszka, Lututów, Walichnowy, Wiewiórka, Rudlice i Rudniki. Dzięki czynnej współpracy organistów, udało się ustalić miejsca wyjazdów z wyjątkiem Czajkowa i Rudnik. W Czajkowie zrażony zostałem zbyt materialnym nastawieniem organisty. W Rudnikach organista wołał sprzedawać gazety niż zająć się zorga-

nizowaniem pracy duszpasterskiej. Kilkakrotne prośby nie dały pozytywnego wyniku i dlatego musiałem od swego planu odstąpić, co czyniłem z tym spokojniejszym sumieniem, że wierni mieli możliwość udawać się do Zajączek lub Starokrzepic. W ten sposób uruchomiłem tylko 9 ośrodków:

1. w Wieruszowie zrazu w mieszkaniu p. Kijaka, potem w mieszkaniu p. organisty Piekarskiego. Obie te rodziny miały z tej przyczyny trudności.
2. w Kraszewicach – w domu p. organisty Piskorskiego. Poczciwy dziadek był całą duszą oddany tej pracy,
3. w Galewicach – w domu p. organisty Wójcika, człowieka do wiary bardzo przywiązanego.
4. w Bolesławcu – w domu p. Kijków, którzy jedyni na początku bez obaw oddali jeden pokój do dyspozycji, przy czym cała rodzina gorliwie służyła zbożnej sprawie.
5. w Praszcze – aż do przeniesienia się Sióstr Felicjanek do Aleksandrowa – w domu kościelnego Szymczyka, wyczerpanego /przeżyciami wojennymi/ przyjmowała mnie zawsze życzliwie pani Łucja. Po eksmitowaniu Sióstr praca natrafiła na wiele trudności, a ludzie chodzili do pobliskiego Gorzowa lub Zdziechowic.
6. w Lututowie – w domu p. Larowej. W pracy pomagali mi p. Dębiński i kościelny Słowik.
7. w Walichnowach – w domu p. Sadowej. Z domu tego musiałem później zrezygnować i przenieść się na Kąty Walichnowskie do domu p. Małeckiego. Pomagali mi pp. organiści Rosiński i Stawski. Obaj pracowali gorliwie i z poświęceniem dla sprawy.
8. na Wiewiórcie – przyjmował mnie aż do wysiedlenia p. Krzemiński.
9. w Rudlicach, pod okiem ks. kanonika Wtorkiewiczza, dokonywałem czynności świętych w domu organisty p. Kowalczyka

Do tych ośrodków udawałem się zrazu co dwa, potem co trzy, a wreszcie co cztery tygodnie i to w z góry ustalony dzień tygodnia, by ludzie sami mogli sobie obliczyć dzień przyjazdu księdza. Łatwo sobie było układać plan wyjazdów jesienią, kiedy dobre drogi umożliwiały dostanie się wszędzie rowerem, ale kiedy nastaly okrutne zimy 1941/1942 i 1942/1943 problem ten kazał pokonywać niepokonalne wprost trudności. Ileż razy w śniegu po pas, kroczyłem rano o wpół do piątej z teczką w ręku i ciężką burką na ramieniu do oddalonej o 7 km od Rudy stacji Wieluń lub też wieczorem między 10-tą a 11-tą sam jeden wracałem do domu, by nazajutrz lub na drugi dzień rano rozpocząć podobną pielgrzymkę. Ustawalo się nieraz, ale pracowało, by Bogu dziękować za wolność. W innych porach roku nie było tak źle, ale przemęczenie lub przeziębienie kładło do łóżka, skazując na dłuższe chorowanie. Dwa razy zapadłem na zapalenie

płuc, kilka razy na grype, a głowa to nieraz tak bolała, że każdy krok sprawiał ból. Aż wreszcie i ręką sprzykrzyło się to trzymanie kierownicy. Na prawej dłoni zrobił się tzw. odbl. Zamiast dalej pracować należało ręce pofolgować. Po pierwszym przecięciu wdało się zakażenie, które doprowadziło do operacji. Mimo bandażu jeździłem nadal, chrzcząc lewą ręką. Nogi miały też za swoje. Marne opony i dętki, nawalały jakby na złość w połowie drogi, resztę trzeba było odbyć piechotą.

Postawiłem sobie za punkt honoru, bez względu na pogodę, być przynajmniej raz w miesiącu w każdym z ośrodków pracy duszpasterskiej. Nie zawsze mi się to udawało. Raz stanęła na przeszkodzie choroba, to znowu obowiązki tzw. kierownictwa, ilekroć np. nagle zostałem wezwany na gestapo w sprawach urzędowych, bez możliwości odwołania przyjazdu.

W ciągu tych 39 i pół miesiąca byłem 34 razy w Kraszewicach, 36 razy w Galewiczach, 41 razy w Wieruszowie, 38 razy w Lututowie, 32 razy w Praszce, 6 razy w Walichnowach i Sokolnikach, 27 razy na Kątach, 32 razy w Rudlicach, 39 razy w Bolesławcu, 13 razy na Dalachowie, 9 razy w Osjakowie, 4 razy w Konopnicy, 11 razy w Węglowicach i Wieruszowie w jednym dniu.

Zestawienie to oparte jest na księgach chrztu. Wyjazdy na same li – tylko pogrzeby, śluby i do chorych nie są tu liczone. Zestawienie powyższe wykazuje, że z biegiem czasu do wyżej wspomnianych ośrodków pracy duszpasterskiej doszły jeszcze 3 nowe, a mianowicie Dalachów, Osjaków i Konopnica z Rychłowicami. Odpadły za to Rudlice, które objął ks. Pruchnicki. Wobec tego, że rejon Kąty Walichnowskie był za duży, starałem się zorganizować nowy ośrodek na Zdzierzynie. Musiałem jednak od tego odstąpić. Ogólne zsumowanie wszystkich wyjazdów dałoby potworną sumę 29 361 km. Każdy taki wyjazd zabierał 6–8 godzin czasu. W ciągu lata starałem się każdego wieczoru wrócić do domu. W zimie nocowałem w Kraszewicach, Lututowie i Bolesławcu.

Za takie wyjazdy okazywali nam ludzie zawsze szczerą wdzięczność, choć początkowo strzeżono się nas sądząc, że jesteśmy Volksdeutsche, nie mogąc zrozumieć dlaczego myśmy zostali. Nieraz też wykorzystywano to, iż ksiądz ma rower, żądając od niego dalekich wyjazdów, mimo że mieli konie. W szczerości swej opowiadali innym, iż byli na nabożeństwie. Dowiadywała się policja i robiła donosy do gestapo. Lokale, w których te czynności się odbywały, były nader szczupłe i niewygodne. W Kraszewicach, dokąd zjeżdżali się ludzie nawet z przyległego powiatu kaliskiego, było nieraz tak ciasno, że nie można się było ruszyć. Podczas wyjazdów rzadko uciekałem się do tzw. spowiedzi ogólnych, słuchając wszystkich usznie.

Jeżdżąc rowerem, było rzeczą niemożliwą jeździć w sutannie. Działała ona na Niemców jak czerwona płachta. Raz nawet wysmiano mnie, nazywając mnie

katolickim bykiem. Chociażby z tych względów, nie mogłem jadąc rowerem lub pociągiem pokazywać się w sutannie i dlatego dokonywałem czynności świętych tylko w komży i stule. Muszę tu zaznaczyć, że jeśli chodzi o wyjazdy do ośrodków duszpasterskich, żaden z powiatów w tzw. Warthegau nie miał takich przywilejów, jak właśnie nasz, że na to pozwolono, należy zawdzięczać bardzo wielkiej rozpiętości powiatu. Podczas gdy w innych powiatach za wyjazdy księży byli karani, u nas był spokój, a trudności można by na palcach policzyć. Fakt np. taki, że w czasie jednego wyjazdu do Kraszewic, nie licząc setek wiernych, pragnących się wyspowiadać, zjechały się jeszcze 63 chrzty, mógł być tolerowany tylko w naszym powiecie.

Po takich wyjazdach wracało się do domu całkowicie wyczerpanym i dlatego uważałem za rzecz jedynie możliwą objeżdżanie swej części powiatu z przerwami jedno- czy dwudniowymi. W moim obwodzie praktykowanie takich wyjazdów, jak je praktykował ks. Pruchnicki w swoim (obwodzie) było niemożliwym.

Wobec tego, że ks. Pruchnicki objeżdżał na furmance w ciągu sześciu po sobie następujących dni tygodnia swoją część powiatu, a przez trzy tygodnie był wolny, spadła na niego lwoia część wyjazdów do chorych. Praca taka, choć może mniej męcząca, nie odpowiadała mi, wolałem regularnie wyjeżdżać i nie odwykać. Mój wierny druh – rower nie lękał się ulewnego deszczu i dlatego nie mogłem się nigdy doczekać, kiedy ulęknie się niepogody.

Chcąc wyjechać do Lututowa, Galewic, Wieruszowa, Walichnów lub Bolesławca musiałem wstawać o 5-jej rano. Jadąc do Praszki – jeszcze wcześniej. W czasie podróży należało zawsze lękać się, że jakiś żandarm lub komisarz wpadnie i narobi awantury.

Pierwszy taki kłopot spadł na mnie w 1942 r. w Wieruszowie. Po dokonaniu czynności w mieszkaniu p. Kijaka wpadł miejscowy komendant z dwoma innymi żandarmami i zaarrestował p. Kijaka pod zarzutem udzielania ślubów. Po kilku godzinach wrócił jednak p. Kijak, dzięki mojej interwencji, do domu. W tymże Wieruszowie, w roku 1944, komisarz gminny Schulze, groził aresztowaniem p. organisty Piekarskiego, za umożliwienie uprawiania w swoim domu tzw. polityki narodowo – kościelnej, dostał się on później na listę przeznaczonych do wysiedlenia, z której został po ogromnych trudnościach skreślony.

W Praszce, prześladowający w okrutny sposób ludność polską komisarz robił mi awanturę o to, że mu swym przyjazdem odciągam ludzi od pracy. Zabronił mi przyjeżdżać do Praszki. Wszystkich tych, którzy mi pomagali, jak rodzinę Stankowskich i kościelnego Szymczyka, zarząd miejski szykanował. Na wyraźne żądanie gestapo musiał jednak zrezygnować ze swych fantazji i tolerować taki stan rzeczy.

W tejże Praszce komendant policji omal mnie nie skrzywdził za to, że kłaniając mu się, nie spojrziałem na niego.

Żandarmeria czastarska prześladowała mnie za spowiedź. W Kraszewicach aresztował mnie komisarz za to, że jakoby bez pozwolenia wykonywałem czynności duszpasterskie.

Wobec takich szykan starałem się dla siebie i dla ks. Pruchnickiego o jakieś zaświadczenie. Niestety aż do końca roku 1943 nie chciano nam takiego wydać, skutkiem tego każdy wyjazd groził jakąś niemiłą niespodzianką. Wprawdzie każdy posterunek posiadał nasze nazwiska, ale szukano okazji, by nam pracę utrudnić.

Tak przedstawiały się osobiste (trudności) przykrości. Wszystkie inne, związane z osobą ks. Pruchnickiego pomijam. Że jednak i one kosztowały mnie dużo nerwów, udowodnię to na jednym na razie przykładzie.

W czasie jednego z pobytów ks. Pruchnickiego w Siemkowicach zeszło się u p. Karśnickiej kilka osób do spowiedzi. Zauważył to komisarz gminny. Wpadłszy do mieszkania, zrobił ks. Pruchnickiemu awanturę, po czym zadzwonił do Wielunia oskarżając ks. Pruchnickiego o odprawianie Mszy św. Zostałem natychmiast wezwany do gestapo celem wyjaśnienia tej sprawy.

W czasie takich wyjazdów najprzykrejszymi były momenty, gdy trzeba było odmawiać ludziom tzw. ślubów tajnych²⁷. Wobec niezbitych danych, iż ludzie nasi nie umieją zachować tajemnicy, trzeba było takim prośbom odmawiać. W Praszce poradziłem dwom narzeczonym, którzy nie mieli lat by zawarli ślub wobec dwóch świadków między sobą bez asystencji księdza. W kilka dni potem wiedziało już o tym gestapo i dano mi pierwsze gestapowskie upomnienie. Ilekroć zwracali się do mnie ludzie zaufani, tylekroć udzielałem im tajnego ślubu. W jednym wypadku omal, że nie naraziłem się na pozbawienie wolności. W mieszkaniu przyjaciela udzielałem ślubu pewnej asystentce dentysty, zatrudnionej u Niemca. Kiedy zaszła w błogosławiony stan przyznała się swemu pracodawcy, iż udało się jej dostać tajemny ślub. Ten doniósł o tym zaraz komisarzowi. Podejrzanie, rzecz prosta, padło na mnie. W ostatniej dopiero chwili przypomniało mi się, iż był to ksiądz, który przejazdem bawił w tej miejscowości. Te nieprzyjemności na pewno nie usposabiały do udzielania takich ślubów.

W związku z tak szeroko zakrojoną akcją duszpasterską pozostają tak zwane sprawozdania. Pracą naszą interesowały się dwie instytucje – gestapo i Sicherheitsdienst. Na początku musiałem składać w dowolnych, przez szefów obranych terminach, wykazy imienne ochrzczonej, pogrzebanych, zaślubionych,

²⁷ Przepisy niemieckie nakazywały, aby Polacy mogli zawierać związek małżeński po ukończeniu przez kobietę 25 lat życia, a przez młodzieńca 28 lat życia. Za pobłogosławienie związku małżeńskiego młodszych nowożeńców kapłanowi groziły bardzo surowe kary, łącznie z wywiezieniem do obozu koncentracyjnego.

wyspowiadanych chorych. Jeśli się weźmie pod uwagę to, że w pierwszych miesiącach naszej pracy chrzciliśmy miesięcznie około 500 dzieci, łatwo zrozumieć, ile poza pracą duszpasterską pracy dawały mi te sprawozdania. Wprawdzie pomagali mi w tym pp. organiści, mimo to musiałem uważać, by wszystko było wciągnięte. Dopiero w połowie 1943 r. zwolniono mnie z imiennych sprawozdań, zamieniając je na sumaryczne. Od początku roku 1944 ustalono datę miesięcznych sprawozdań na 18 dzień każdego miesiąca, tygodniowych na każdy wtorek tygodnia. Przy tych sprawozdaniach starałem się przede wszystkim o to, by dla siebie i ks. Pruchnickiego stworzyć pewne minimum zaufania. Chodziło mi o to, by u tych panów uzyskać jak najdalej idące przywileje, by pracy duszpasterskiej nie krępowano. Na początku pytałem o wszystko. Dzięki temu pozwolono mi potem, jeśli chodzi o pracę podczas wyjazdów, obsługiwać nawet ludzi z obcych powiatów. Fakt ten, iż w związku z pracą duszpasterską musiałem często porozumiewać się z władzami niemieckimi, dał wielu ludziom asumpt po temu, by mnie podejrzewać o wrogię naszemu Narodowi knowania z gestapo. Nikt nie wiedział o co chodzi, a sam fakt wchodzenia do gmachu (gestapo) ludziom wystarczył. Że jednak nad tym bardzo cierpiałem, że z lękiem wchodziłem na stopnie tego miejsca kaźni, nikt nie wiedział. Ileż przykrzejsze były dla mnie nieusprawiedliwione podejrzewania wiernych. Z wolna dopiero ludzie z tym się oswoili widząc, że się przez to krzywda nie dzieje. Później nawet doszło do tego, że mogłem wiele ludzi ze szpon gestapowskich zbirów wyrwać. Mogę bez pochlebstwa powiedzieć, że o ile nie doszło do dalszych aresztowań inteligencji, było moją skromną zasługą.

Jak już wyżej wspominałem, po przeniesieniu się do Rudy zastałem kościół zamknięty i pierwsze próby otwarcia nie udały się. Sprawy jednak nie zasypiałem. Przy każdej sposobności przypominałem o tym anormalnym stanie rzeczy władzom. Niestety kierownictwo partii nie życzyło sobie tego. Partyjny kierownik powiatu sądził, że zyska w oczach władzy wyższej, jeśli uda mu się otwarcie kościoła odwlec jak najdalej. W tym też duchu urobił komisarza gminy (Wierzchlas – przypis J.Z) renegata Stephena, który gdy w innych obwodach pryszczycza wygasła, wymyślił ją w gminie naszej i wyraźnie mi oświadczył, że im częściej będę kołatał o otwarcie kościoła, tym nieprzyjemniejsze będzie ustosunkowanie się władz do nas księży. Gestapo odsyłało mnie do niego, a on do gestapo. Obie strony jednak nie miały chęci tej sprawy załatwić. Przed Wielkanocą 1942 r. postanowiłem postarać się o otwarcie kościoła, przynajmniej na oba dni świąteczne, gdyż jak z okólnika powiatowego lekarza weterynarii wynikało, pryszczycza na terenie całego powiatu wygasła. Powołując się na ogłoszenie, prosiłem, by w drodze wyjątku pozwolono w oba dni świąt wielkanocnych odprawiać nabożeństwa. Szef gestapo odkładał decyzję z dnia na dzień i dopiero w Wielką So-

botę, napotkawszy go w mieście w stanie nietrzeźwym, uzyskałem pozwolenie. Ponieważ jednak lękałem się, że nie będzie o tym pamiętał /za godzinę tego, że na to pozwolił/ poszedłem do jego zastępcy, by mu o tym powiedzieć i poprosić, by się jeszcze raz zapytał szefa, czy to prawda. W Rudzie powiadomiłem o tym komendanta żandarmerii. Ten skomunikował się z komisarzem, który o tym nawet słyszeć nie chciał i postanowił połączyć się z gestapo i rzecz wyświecić. Musiał widocznie otrzymać odpowiedź dla mnie pozytywną, gdyż w ciągu popołudnia zawiadomił mnie, że nie ma nic przeciw temu. Mimo że sprawa została załatwiona dopiero w Wielką Sobotę w południe, następnego dnia o godzinie 7 rano tysiące ludzi zaległo cmentarz i kościół w Rudzie. Po kilkumiesięcznym wyczekiwaniu mogli się wierni znowu pomodlić i ze łzami w oczach wchodzili do świątyni Pańskiej. Tak ogromna liczba wiernych (7.000) przeraziła nas, gdyż prawie wszyscy chcieli przystąpić do Komunii św. O spowiedzi usznej nie mogło być mowy. Przeszło 5.000 ludzi zostało wykomunikowanych, reszta nie mogąc się docisnąć, musiała wrócić do domu. W drugi dzień świąt zbiegło się jeszcze więcej ludzi. Po dwóch dniach radości musieliśmy zakomunikować ludziom, iż niestety przez następne niedziele kościół będzie musiał być zamknięty. Nie zasypiałem jednak sprawy. Robiłem wszystko, co było możliwe. Niestety, nie chciano odstąpić od swego. O mych staraniach ludzie nie wiedzieli i sądzili, że sprawa ta jest mi zupełnie obojętna. Wkrótce też otrzymałem anonim, w którym czyniono mi wyrzuty, że nie dbam o to i grożono zwróceniem się do wyższej instancji. Sprawa jednak dojrzewała. Kiedy wobec braku podpisu na anonimowym liście, nie mogłem nikomu zaszkodzić, zjawiłem się znowu w gestapo, prosząc o otwarcie kościoła, zapytano mnie czy chcemy odprawiać, poparłem swoje „tak” owym anonimem. Jakkolwiek sam anonim był dla mnie rzeczą przykrą, gdyż wykazywał całkowite niezrozumienie moich poczynań, był jednak ostatecznym powodem, który wpłynął na załatwienie sprawy. W dniu 27 VI 1942 r. w dwa dni po mojej wizycie, nakazał mi szef gestapo rozpocząć od najbliższej niedzieli odprawienie nabożeństw.

W ten sposób zakończyła się jedna z największych trudności, jakie miałem do pokonania. Od następnej niedzieli rozpoczęliśmy więc normalną pracę w kościele. Odprawialiśmy po dwie Msze św. każdy. Pierwszą o godzinie 7,30, drugą o godzinie 8,30, trzecią o godzinie 9,30, czwartą o godzinie 10,30. Trzecia (Msza św. – przypis J.Z.) była zawsze śpiewana i by uratować monstrancję z wystawieniem. Była ona na mą propozycję odprawiana w intencji Polski, o czym oczywiście nikt z wiernych nie wiedział. O godzinie 11,30 musieliśmy kościół zamykać. Garnących się do kościoła zrażała ta okoliczność, że miejscowa żandarmeria pilnie kontrolowała drogi i często gęsto sypała kary za niekła-

nianie się. Wielu, zwłaszcza młodych, lękało się, że groźny Arbeitsamt wpadnie którejś niedzieli do kościoła i wyłapawszy ich wywiezie do Reichu.

W kilka niedziel po otwarciu kościoła, osądzili miejscowi Wołyniacy (była to grupa ludności ukraińskiej, współpracującej z władzą hitlerowską, którą na tych terenach osiedlili Niemcy w wyniku działań armii gen. Własowa), iż Polakom za dobrze się dzieje, że śpiewają pieśni polskie, że muszą to ukrócić i poprosić władze, żeby śpiewaniem pieśni polskich nie psuto im nerwów. By groźące niebezpieczeństwo w zarodku zdusić, zwróciłem się natychmiast do gestapo z prośbą o wyjaśnienie, co władze o tym myślą. Otrzymałem odpowiedź, że jeśli wolno nam odprawiać, to wolno również śpiewać, ponieważ pieśni kościelne są częścią składową nabożeństw. Wołyniacy jednak musieli jednak swą groźbę spełnić, gdyż władze partyjne wydały nakaz pracowania w niedziele, a ludzi idących do kościoła zapędzano do pracy w majątkach (Wierzbie). Wierni się jednak tym nie zrazili. Nie zwracając uwagi na godzinę policyjną, wychodzili o godzinie 4-ej rano lub nawet wcześniej, by na godzinę 7,00 być w kościele.

W niedziele zwykle spowiadaliśmy w konfesjonalach i normalnie udawało się nam zaspokoić potrzeby wszystkich wiernych. W większe święta musieliśmy spowiadać ogólnie.

Udało mi się też szczęśliwie rozwiązać kwestię komunikantów i hostii. Fabryka opłatków we Wrocławiu dostarczała nam regularnie zrazu dwa, potem cztery, a w końcu 8 tysięcy komunikantów miesięcznie. Gdyby nie to, to napotkalibyśmy pod tym względem na szalone trudności. Z początku nie przyznawano Polakom mąki pszennej, a posiadanie jej było karane. Później, gdy już nie było tak surowo, była to mąka tak marnego typu, że się do pieczenia komunikantów zupełnie nie nadawała. Suma sprowadzonych komunikantów wynosiła 226.000, z których w czasie wypędzenia Niemców pozostało mi 36 tysięcy.

Od chwili otwarcia kościoła postanowiliśmy nie głosić kazań. Miało to swoje uzasadnienie w tym, że byliśmy bardzo kontrolowani przez gestapo, a i wierni nasi bardzo często przekreślali sens zdań. Oto dwa przykłady. Kiedy w jednym z przemówień zachęcałem, by być przygotowanym na wszystko i prosić o łaskę przetrwania, wierni przekreślili sens i opowiadali, że kazałem modlić się, by Rosjanie przyszli jak najprędzej. Czym to mogło grozić, łatwo sobie wyobrazić. W innym wypadku zapowiedziałem pewien termin, zrozumiano mnie w ten sposób, że powiedziałem, iż w tym terminie skończy się wojna.

Nawet w konfesjonale staraliśmy się mówić krótko, żeby się nie nazywało, że uświadamiamy politycznie naszych wiernych. Przed spowiedziami ogólnymi zwracaliśmy uwagę na najczęściej spotykane braki życia religijnego. Największym naszym zmartwieniem były spowiedzi. Zauważyliśmy zupełny zanik techniki spowiedziowej. Zamiast się spowiadać z grzechów, spowiadano się raczej

z tego, co nie zrobiono. Z niektórych parafii spowiadano się popełnieniem 15 grzechów ciężkich i 14 lekkich, więcej nie pamiętam. Tacy penitenci zabierali najwięcej czasu, tak dla nas cennego.

Kościół rudzki objęliśmy w stanie zupełnego zaniedbania. Ściany były brudne, zakrystia źle zastawiona (sic). Obraz Matki Boskiej Rudzkiej²⁸ zupełnie niewidoczny. Pierwotnie nie miałem zamiaru odświeżania kościoła. Chciałem tylko ks. Pruchnickiemu zrobić niespodziankę i odświeżyć zakrystię. Ponieważ jednak malarz sam zaproponował wymalowanie całego kościoła, poprosiłem ks. Pruchnickiego o zgodę, a sam przyjąłem na siebie całą odpowiedzialność wobec władz. Trudności nie robiono. W lutym 1944 r. rozpoczęto pracę, która trwała aż do Zielonych Świąt. Kościół z kaplicą został wymalowany za nikłą sumę 6.000 marek.

Jak już wyżej wspomniałem, wierni tłumnie garnęli się do kościoła. Te ustawiczne pielgrzymki stały się wreszcie solą w oku Niemców. Kierownictwo partii zwróciło się do p. o. landrata Borka z prośbą o zamknięcie kościoła. Ponieważ p. Borek był katolikiem, podanie jako przekraczające jego kompetencje odrzucił. Zmiana na stanowisku kierownika partii uratowała kościół.

W swej udawanej troskliwości o żywność i konie kazano w niedziele i święta pracować. Nowo mianowany landrat uznał za stosowne odzwyczaić Polaków jeżdżenia do kościoła. W pierwszy dzień Zielonych Świąt kazał żandarmerii obstawić wszystkie drogi wiodące do Rudy i karać tych, którzy jechali do kościoła. Furmanki po ukaraniu wracano do domu, a jadący wierni musieli iść piechotą po zapłaceniu kilku marek na Czerwony Krzyż. Te furmanki, które dotarły bocznymi drogami do Rudy, musiały przez cały dzień wozić żwir. Od tego czasu nie wolno było jeździć końmi do kościoła. Zakaz ten aż do wypędzenia Niemców, nie został złagodzony. Wszelkie starania były bezowocne. Dlatego też coraz mniej chrztów zjeżdżało do kościoła. Nawet Wieluń musiał być obsługiwany w soboty. Chodziliśmy od domu do domu.

Tymczasem liczba chrztów urastała w tysiące. Skrzętnie chowane zaświadczenia z Urzędu Stanu Cywilnego kazały na wszelki wypadek, gdyby się ich nie dało uratować, stworzenie jakichś ksiąg, by w przyszłości każde ochrzczone dziecko mogło uzyskać metryczkę. Zwróciłem się więc do drukarni powiatowej z prośbą o wydrukowanie ksiąg chrztu, nieco później o wydrukowanie metryk chrztów i ślubów. Ułożony w języku łacińskim tekst posłano do Poznania, skąd po miesiącu przysłano zgodę na druk.

²⁸ Ks. Kubica używał nazwy Matka Boska Rudzka, bowiem to wezwanie było w czasie okupacji hitlerowskiej powszechnie używane. Przed tym obrazem Matki Boskiej Rudzkiej Polacy modlili się o lepszą przyszłość.

W ciągu tych 39 i pół miesięcy pracy duszpasterskiej ochrzciliśmy 11.239 dzieci. Po dokładnym zróżniczkowaniu można by zrobić następującą ciekawą tabelę (wg ksiąg ochrzczonych).

Księga	ochrz.	ślubów	nieślub.	w kość.	poza	ks. P.	ks. Kub.
A	548	469	79	187	361	227	321
B.	705	576	129	128	577	306	399
C.	563	461	102	149	414	246	317
D.	563	453	110	129	434	352	211
E.	1010	840	170	428	582	500	510
F.	1010	830	180	282	728	380	630
G.	1009	775	234	368	641	439	570
H.	1010	786	224	374	636	517	493
I	1010	821	189	374	673	404	606
J.	1004	852	152	228	776	359	645
K.	1011	838	173	224	787	355	656
L.	1010	853	157	314	696	451	559
Ł.	786	659	127	245	541	283	503
Razem:	11 239	9213	2026	3393	7846	4819	6420

W porównaniu z chrztami liczba legalnie udzielonych ślubów jest bardzo niska. Wpłynęło na to ograniczenie wieku ślubnego. Panna musiała mieć lat 25, a chłopak 28 lat skończonych. Ustawa ta chciała ograniczyć liczbę dzieci polskich. Ślubnych było mniej, za to rosła liczba dzieci nieślubnych. Za poszczególne lata udzieliliśmy: w roku 1941 – 33 śluby, 1942 – 93, 1943 – 108, 1944 – 82, 1945 – żadnego. Razem – 316 ślubów. Z tej liczby przypada 171 na ks. Kubicę, a 145 na ks. Pruchnickiego.

Z tego co wyżej powiedziano wynika, że liczba spowiedzi wynosiła setki tysięcy.

Abyśmy się nie wzbogacili, zabroniono nam zbierać jakichkolwiek ofiar w kościele. Wierni jednak nie mogli się z tym pogodzić. Bez żadnej zachęty składali swe ofiary na ołtarzu Matki Boskiej Rudzkiej. Sum tych nie obracaliśmy na własny użytek. Stworzyliśmy z nich tzw. kasę kościelną, z której pokrywaliśmy wydatki kościelne oraz ubezpieczenie organistów. Resztę przeznaczaliśmy na

potrzeby Kurii, a przede wszystkim na utrzymanie Seminarium Duchownego. J. E. Ks. Bp Ordynariusz zna te sprawy najlepiej, dlatego zbytecznie się nad tym rozwodzić. Z kasy tej 6.000 marek przeznaczono na odrestaurowanie kościoła.

Kończąc to sprawozdanie nie mogę nie wspomnieć o dniach grozy, jakimi były dni aresztowania ks. Pruchnickiego. W czasie mego pobytu u chorych w domu gruźliczym na Rybce przysłał mi dr Bąk z Lututowa kartkę z prośbą o jak najszybsze przybycie do Lututowa. Późnym wieczorem dnia 1 grudnia 1943 r. po przyjeździe do Lututowa dowiedziałem się, od umyślnie przybyłego autem dra Tyca aresztowaniu ks. Pruchnickiego. O godzinie 1 w nocy znalazłem się w mieszkaniu p. dr Patrynowej, u której czekała na mnie, całkiem załamana siostra ks. Pruchnickiego. Ze wstępnych opowiadań osądziłem zbyt pochopnie, że chodzi tu tylko o zwykłe nieporozumienie, które uda mi się następnego dnia wyjaśnić. Następnego dnia o godzinie 7 rano poszedłem na gestapo. Tu udając „greka” zakomunikowałem szefowi, iż ks. Pruchnickie, wyjechawszy przed dwoma dniami do Osjakowa, do tej pory nie wrócił. Na to, uśmiechając się, oświadczył mi szef gestapo, iż ks. Pruchnicki znajduje się u nich. Na moje zdziwienie i zapewnienie, że głowę daję, że on nie winien, powiedziano mi, bym zbyt pochopnie nie szafował głową. Chodziło o nie byle co. Zarzucano ks. Pruchnickiemu finansowanie partii podziemnych i skupowanie kartek żywnościowych, by po spieniężeniu tychże, obrócić je na ten sam cel. Na moją prośbę, by ks. Pruchnickiego zwolnił, oświadczył mi, że może do tego dojść, na razie jednak musi zostać w więzieniu. Całych 20 dni walczyłem o niego. Cały Wieluń przyglądał się tym zapasom ciężkim i czasem, zdawało się beznadziejnym. Przede wszystkim należało referenta i tłumacza przekupić i za wszelką cenę skomunikować się z ks. Pruchnickim w więzieniu. Na widzenie się z nim nie chciano pozwolić.

Jeden z dozorców więziennych podjął się tego niebezpiecznego zadania. Kiedy doszło do zeznań zgadzały się one co do joty. Udowodniłem więc, iż ks. Pruchnicki mógł w chwili aresztowania mieć najwyżej 700 marek czystego dochodu, skąd więc mógł mieć tysiące. Po kilku dniach zarzut ten jako bezpodstawny upadł. Pozostała jeszcze do załatwienia sprawa kartek żywnościowych. Na nieszczęście nie miałem dostatecznych dowodów, by udowodnić, iż mógł je mieć, wcale o tym nie wiedząc. O tym, że sprawa udziału w akcji podziemnej upadła, wiedziałem, lękałem się jednak, że sprawa zostanie w końcu oddana policji kryminalnej, gdzie nie miałem znajomości. Trzeba było się liczyć z osądzeniem na więcej niż pół roku, co równało się skazaniu do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Bóg mi jednak dopomógł. Jednej niedzieli otrzymałem w zakrytym zaślepieniu kopertę, a w niej kartkę z intencją mszalną. Zamiast pieniędzy włożone były kartki żywnościowe. Ponieważ brakło podpisu, postanowiłem ją

oddać jako dowód. Uwierzono mi. Dnia 20 grudnia kazano mi o godzinie 16-ej odebrać sobie ks. Pruchnickiego, uwolnionego od winy i kary. Razem z nim i tylko dla niego zwolniono wszystkich współoskarżonych. O godzinie 17-ej zawiózłem ks. Pruchnickiego do Rudy.

Chciałem jeszcze zaznaczyć, iż mimo, że byłem tzw. odpowiedzialnym księdzem, wzajemna współpraca księży odbywała się bez tarć, w atmosferze Bożej i w bezustannej trosce o dobro powierzonych nam dusz. W ks. Pruchnickim widziałem swego zwierzchnika i przyjaciela, a on widział we mnie swego współbrata, któremu wcale nie zazdrościł „tak ciężkiej odpowiedzialności i pierwszeństwa” wobec władz.

Ks. mgr Józef Kubica
Wieluń, w lutym 1945 r.

Autor zmarł nagle parę lat temu we Wrocławiu. Tekstu nie zdążono z nim omówić. Podaje się to w tej formie, w jakiej wyszedł z ręki Autora.

4. Podsumowanie

Wspomnienia ks. Józefa Kubicy z czasów jego pracy duszpasterskiej w kościele parafialnym w Rudzie k. Wielunia posiadają dużą wartość historyczną, pozwalają lepiej poznać okupacyjne dzieje Kościoła katolickiego w powiecie wieluńskim, dlatego też zasługują na to, aby zostały przedstawione szerokiemu kręgowi społeczeństwa. Autor był świadkiem i realizatorem hitlerowskiej polityki wobec ludności polskiej i Kościoła. Podkreślał wyjątkowość tego duszpasterstwa w powiecie wieluńskim wskazując, iż podstawą zarządzenia Niemców zezwalającego na pracę dwóch duchownych na tym terenie była rozległość powiatu. Z tym trzeba się zgodzić, ale były też inne powody takiej decyzji. Przede wszystkim pozostał ks. Kubica duszpasterzem w powiecie wieluńskim dlatego, że został wpisany na Reichslistę, ze względu na miejsce jego urodzenia (Essen). Natomiast ks. Józef Pruchnicki został pozostawiony w Rudzie dlatego, że podczas wojny polsko-bolszewickiej został odznaczony krzyżem „Virtuti Militari”, co wobec prowadzonej wojny niemiecko – radzieckiej posiadało ogromną wartość propagandową²⁹.

Powstaje pytanie czy relacje ks. Kubicy wiernie przedstawiają rzeczywistość okupacyjną. Otóż mimo wszystko wydaje się, iż nie posiadał pełnej wiedzy o sytuacji duchowieństwa katolickiego w powiecie wieluńskim przed aresztowaniem i w czasie samego aresztowania. Nie przedstawił dokładnej liczby parafii na tym

²⁹ Więcej wiadomości o życiu ks. Józefa Pruchnickiego podał: J. Związek, *Wspomnienia ks. Józefa Pruchnickiego...*, s. 123–126

terenie (podał, że ciosem tym zostało dotkniętych 59 parafii, a faktycznie były tam 62 – być może nie znał aktualnego stanu, był w diecezji zaledwie od 3 lat). Ponadto niedokładnie podał stan duchowieństwa aresztowanego i pozostawionego przez Niemców. Napisał, że pozostawiono 2 kapłanów w czynnym duszpasterstwie w Rudzie oraz 5 chorych i staruszków, zwolnionych z obozu przejściowego w Konstantynowie k. Łodzi. Otóż zostało zwolnionych z tego obozu 7 kapłanów: czterech wymienionych (ks. Wacław Chrzanowski, ks. Franciszek Wtorkiewicz, ks. Hipolit Zieliński i ks. Adam Żor) i trzech niewymienionych (ks. Zenon Cwilong, ks. Franciszek Paterek i ks. Wincenty Śliwiński), zaś ks. Wincenty Przygodzki w czerwcu 1941 r. opuścił swoje stanowisko w Wieluniu i mieszkał w Domu Księży Emerytów w Częstochowie. Nie aresztowano dwóch kapłanów: ks. Jan Szyca z Ożarowa i ks. Józef Kruszyński z Kadłuba. Pierwszego z nich obronił niemiecki właściciel majątku w Ożarowie, a drugi posiadał obywatelstwo włoskie. Nadto podczas powszechnej branki czterech księży zdołało uciec. Aresztowanych i wywiezionych do Dachau było 55 kapłanów, te dane liczbowe były bardzo trudne do ustalenia, także w późniejszych latach.

Dużą wartość posiadają wiadomości o zwykłych sprawach, przepisach i represjach hitlerowskich lokalnych władz administracyjnych, postawie ludności polskiej i jej aktywności w sprawach religijnych. Kubica nie wspominał natomiast o duszpasterstwie dla katolików narodowości niemieckiej w Wieluniu oraz bardzo mało o polskim ruchu oporu. Najprawdopodobniej podziemie nie miało do niego zaufania – głównie ze względu na częste jego kontakty z władzami okupacyjnymi (w tym z gestapo), ale jednocześnie nie podjęło przeciw niemu jakichkolwiek działań. Tymczasem on kontakty te musiał utrzymywać – tego wymagało jego stanowisko.

W świetle wspomnień ks. Józef Kubica jawi się jako gorliwy kapłan, nie oszczędzający swego zdrowia i sił w pełnieniu obowiązków, zastraszaony najcięższymi konsekwencjami przez władze okupacyjne. Swojego współpracownika, mimo że to on odpowiadał za całość pracy duszpasterskiej w Rudzie szanował i uznawał, jak sam napisał, jego zwierzchność.

Wspomnienia ks. Józefa Kubicy zasługują na dokładne przeczytanie i roztropną refleksję, mimo niedokładności i niepoprawności językowych, nad podanymi w nich faktami i wydarzeniami z tamtych lat.